

A propos **rośliny zielnej**. Termin ten stanowił prawdziwą zmorenę tekstów botanicznych i był przedmiotem wieloletnich potyczek korektorów z autorami prac botanicznych. Każde dziecko wie przecież, a cóż dopiero uczony korektor, że mówienie o roślinie zielnej pozbawione jest sensu; rośliny są po prostu zielone. Uczony i sumienny korektor zawsze skrupulatnie poprawił „roślinę zielną” na „roślinę zieloną”. I tak to trwało przez lata. Za czasów głębokiego PRL-u, gdy wszystkie naukowe wydawnictwa spoczywały w rękach PWN, uczeni korektorzy mieli się szczególnie dobrze, stanowiąc swoistą kastę nietykanych, stąd próba walki z nimi skazana była, w sposób nieunikniony, na niepowodzenie.

Z wiedzą jest tak, że wiedzieć trochę, to czasem gorzej niż nie wiedzieć nic. Dobrze oddaje tę prawdę przykład osławionej „kardiologii roślin”. Tak, tak, i tym razem to nie literówka, ale radosna twórczość uczonego korektora. Otóż lata 60-te ubiegłego stulecia były okresem intensywnego rozwoju badań kariologicznych zarówno na gruncie botaniki jak i zoologii. Pech chciał, że swą równoległą karierę – nie tylko naukową, ale i medialną – robiła kardiologia. O ile jednak o kardiologii słyszał wówczas prawie każdy, o tyle o kariologii, a już kariologii roślin, nie słyszał prawie nikt. W tamtych czasach żaden korektor nie przepuściłby czegoś takiego jak „kariologia roślin”; poprawiano ją bez mrugnienia okiem na ... „kardiologia roślin”. Botanik może sobie opowiadać bajki o tym, że rośliny to istoty pozbawione serca, ale korektor wie dobrze, że rośliny serce mają i to właśnie nim – roślinnym sercem – zajmuje się (zdaniem korektora) owa kardiologia roślin. Co prawda, gdyby zapytać uczonego korektora, gdzie roślina ma serce, nie umiałby zapewne odpowiedzieć. Ale tak głębokich pytań korektor sobie nie stawia. Bądźmy jednak sprawiedliwi. Zdarzali się korektorzy (w moim doświadczeniu były to wyłącznie kobiety) o nadzwyczajnej, jak na korektora, skromności i intuicji (kobiecej oczywiście); tacy decydowali się niekiedy na wyjątkowo odważny krok – telefonowali do „klienta” z zapytaniem. Tak było w przypadku „zdjęcia fitosocjologicznego”. Pani korektor robiąca ostatnie korektorskie

szlify w moim artykule zadzwoniła z zapytaniem: czy aby nie należy pisać „na zdjęciu” zamiast „w zdjęciu”. Odpowiedziałem, że owszem tak, o ile zdjęcie jest fotografią. „A nie jest?” – usłyszałem pełen zdziwienia i zawodu, zarazem nieco wylękniony, głos w słuchawce. „Ano nie jest” – odpowiedziałem; to bowiem zdjęcie jest spisem gatunków (jak każde zdjęcie fitosocjologiczne), a mówimy przecież „w spisie” a nie „na spisie”. „Ach więc to tak” – rzekła pani korektor z ulgą w głosie i dodała: „jak to dobrze, że zadzwoniłam i nie poprawiałam na własną rękę”. Pozwoliłem sobie, może niezbyt taktownie, utwierdzić panią korektor w tym mniemaniu, że rzeczywiście dobrze uczyniła. Piszę „nietaktownie”, bo na początku jej rozmowy ze mną wyczułem, że to nie tyle jej wątpliwości były powodem owego telefonu, ile w znacznie większym stopniu, chęć pouczenia pracownika nauki, utytułowanego bądź co bądź – ot, takie niewinne skądinąd i kulturalne przecież samodowartościowanie, płynące, jakby nie było, wyłącznie z troski o dobro tekstu, ale czy warto mnożyć przykłady? Niemal każdy z nas ma zapewne немало takich historii w zanadru.

Podobne historie zdarzały się i zdarzają przecież regularnie odkąd – po wynalezieniu druku – cywilizacja nasza podróżująca statkiem kosmicznym Ziemia, wylądowała w „Galaktyce Gutenberga”. Ale, z drugiej strony, powiedzmy sobie szczerze, czy życie nie byłoby smutne bez korektorów?

Zbigniew MIREK

POEZJE BOTANIKÓW POETRY OF BOTANISTS

KLEPSYDRA CZASU

Powoli przesypuje się klepsydra czasu
opadają na dno ziarenka piasku
jak mijające
pojedyncze dni
a w każdym

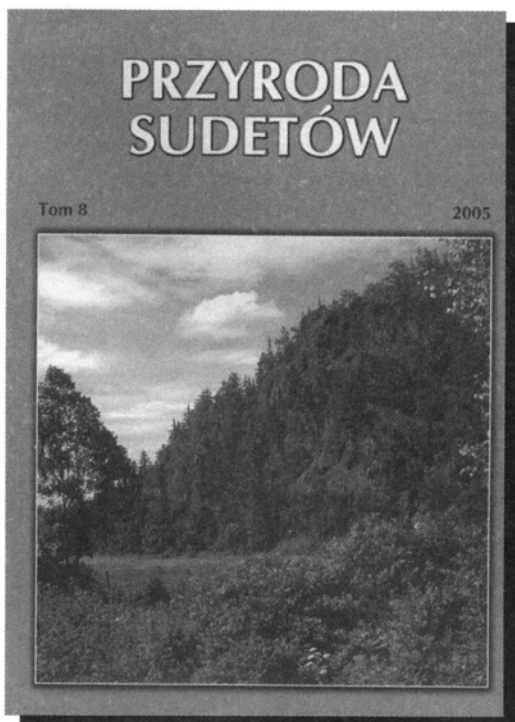
jak w okruchach bursztynu
zachowane są minione lata
w niezmienionych barwach.

Wystarczy delikatnie odstaniać
warstwę po warstwie
i przywołane zostaną
dawne zdarzenia
miejsca
pejzaże
zapomniane postaci
i młodzieńcze uniesienia.

Powoli przesypuje się klepsydra czasu
coraz więcej warstw przysłania dno
coraz bardziej wyblakłe stają się wspomnienia
niczym kwiaty suszone w piasku do zielnika.

Coraz wolniej przesypuje się klepsydra czasu
coraz mniej piasku zostaje ...

Elżbieta KUTA



NOWE PERIODYKI I SERIE NEW PERIODICALS AND SERIES

PRZYRODA SUDETÓW

Przyroda Sudetów (ISSN 1508-6135) jest pismem przyrodniczym, które ukazuje się od roku 1998 (wcześniej pod tytułem *Przyroda Sudetów Zachodnich*), jako wydawnictwo Muzeum Przyrodniczego w Jeleniej Górze oraz Zachodniosudeckiego Towarzystwa Przyrodniczego. Publikowane są w nim oryginalne prace naukowe oraz doniesienia dotyczące geologii, geomorfologii, zoologii, mikologii i botaniki Sudetów. Prace naukowe są recenzowane.

Publikowane tu opracowania są bogato ilustrowane, także kolorowymi fotografiami. W dotychczas wydanych rocznikach część botaniczna i mikologiczna przeważa nad pozostałymi, co skłoniło mnie do zarekomendowania pisma w *Wiadomościach Botanicznych*.

Roczniki redagowane są profesjonalnie przez

zespół młodych naukowców, którym nie brak zapału i umiejętności. Podobnie jak wcześniej zainicjowane *Zeszyty Przyrodnicze Lubuskiego Klubu Przyrodników*, *Przyroda Sudetów* skupia wokół siebie coraz liczniejszą grupę autorów, zafascynowanych Sudetami i ich przyrodą. Botanikami, którzy publikują tu od ośmiu lat są między innymi pracownicy Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Przyrodniczego (dawniej Akademii Rolniczej) we Wrocławiu, Karkonoskiego Parku Narodowego, Muzeum Przyrodniczego, ale także związani z Sudetami i Łużycami autorzy z Czech i Niemiec. Pomimo lokalnego charakteru wydawnictwa, jego wysoki poziom merytoryczny i edytorski sprawia, że chętnie się po nie sięga. W każdym z ośmiu tomów, które dotąd się ukazały, można znaleźć opracowania dotyczące szaty roślinnej oraz doniesienia florystyczne z zapomnianego do niedawna obszaru. Wydawnictwo to znalazło już grono swoich stałych odbiorców a nawet entuzjastów i jest źródłem ważnych, aktualnych informacji z zakresu botaniki, zwłaszcza że ob-